

ADAM WIARYGA MINIESKI

# Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

13

Anielka była pod urokiem tego piękna rozkwitłej przyrody, a jednak nie znalazła w tym ogrodzie tego, czego szukała. Nie poczuła się zjednoczoną z przyrodą, tak, jak to bywało dawniej na wsi. Park, mimo całej swej piękności, wydał się jej tworem sztucznym, dekoracyjnym, wobec innych obrazów, które nosiła w duszy.

Ogarnęła ją coraz silniejsza nostalgia za krajem i tęsknota za wsią, którą po raz pierwszy opuściła na tak długo.

Myśl jej na skrzydłach tęsknoty biegła do kraju, oblekając wieś rodzinną w czary i uroki jakiegoś wysnionego raju.

Wyobrażała sobie, przypominała, że tam teraz inaczej wyglądać musi.

Młoda zielen, jasna, bujna, świeża, soczysta roztacza wszędy swój przepych, obwieszczając wiecznie odradzające się życie.

I tam kwitną sady, drzewa owocowe stoją w jasnej, weselszej szacie — nie tak równo i symetrycznie rozłożone, jak tutaj, ale rozrzucone wokół chat swobodnie, jakby niedbale.

W gajach kwitną leśne fiołki, przylaszczki, saskanki, rudzieje, czerwone złoto przekwitających pierwiosnków.

Na łąkach widnieją żółte jaskry i mlecze, a smutkie rumianki podnoszą swoje białe główki, tuż przy ziemi tulą się małe, skromne kwiateczki, „sierotki“, jak je lud nazywa.

Nad rowami błękitnieją kępki niezapominajek i bieleje rzeżucha wodna. Wśród młodych, jasnozielonych zbóż zamodrzą się już gdzieś tam pierwsze blawatki lub błysnie purpurą przedwczesny, samotny mak.

Wieczorem odzywają się chóry zab, a przez dzień cały rozbrzmiewają pieśni pasterzy, pasterek przy bydle — pieśni proste, nie uczone, rozgłosne — raz wesole, dziarskie, a innym razem smętne, żałosliwe, zawodzące.

Anielce zdawało się, że z tchnieniem wiatru, otrząsającego kwietne płatki z drzew, przyleciała do niej ulubiona piosenka pasterek:

„Nie będę ja pastera  
Za garnuszek masła,  
Ani za pół serka,  
Bo ja nie pasterka.“

A na wsi wre teraz życie, praca, ruch... Pracownicy rolni, oracze ziemi-matki krzątają się, jak roje pszczół pracowitych, po polach i łąkach, trzymając rękę na tętnie przyrody, wyczuwając jej usposobienie, kaprysy, niespodzianki.

Anielka w tęsknocie swojej idealizowała cel swych marzeń, zapominała o melancholii, jaka ją ogarniała nieraz na wsi w dni chmurne, mgliste, deszczowe.

Nie pamiętała o tem teraz i jedno tylko czuła pragnienie: wrócić jak najprędzej do tej wsi ukochannej, precudnej, szukać w jej ciszy i czarze ukojenia dla ran serdecznych!

— Kiedyż się spełni moje marzenie? — wzdychała Anielka. — Może, może już niedługo!

Echa ofensywy majowej, wypierającej Rosyan z Galicji, budziły w sercach polskich wychodźców nadzieje, że już rychło skończy się ich tułaczka...

I dlatego Anielka marzy coraz częściej, coraz śmielej o powrocie do swojej wsi...

Tam może odnajdzie samą siebie. Tutaj w mieście zbyt wiele gwaru, hałasu ogłuszającego i na każdym kroku za dużo ludzi.

O! i teraz Anielka pragnęłaby iść samotnie przez ten biały, kwitnący ogród, a co chwila spotyka ludzi i mimowolnie musi obserwować, zastanawiać się, a takby jej dobrze było, gdyby mogła przestać myśleć.

Mija teraz ławkę, na której siedzi młody żołnierz, ranny, przystojny dziarski chłopiec z jedną z tych śmiałych twarzy, które zdają się mówić: „przybyłem, zobaczyłem i zwyciężyłem“.

Obok niego po jednej i po drugiej stronie siedzą dwie młode dziewczyny. Obie wpatrzone w żołnierza z nieukrywaniem zachwytem, z podziwem, z miłością. Ale młodzieniec zwraca się z uśmiechem do jednej z nich tylko, więc druga błednie, smutnie, chyli głowę, jak kwiat złamany.

Aleją snują się młode pary, niektóre przytulone do siebie blisko. Powietrze, zda się, dyszy szmerem słów miłosnych i żarem pocałunków.

Anielce wilgotnieją oczy, żalność zalewa serce.

Naprzeciw niej idzie teraz para ludzi, których zna dobrze. To Józia, śliczna i świeża w swojej różowej, batystowej sukience, jak kwiat majowy, a obok niej Zarnicki, wpatrujący się w swoją towarzyszkę z rozmarzeniem, które twarz jego o nieregularnych rysach i szarej cerze czyni prawie ładną.

— Szczęśliwa Józia — myśli Anielka — już zapomniała o swoich jednodniowych troskach...

W tej chwili przechodzi koło Anielki młoda Czeszka, którą zna dobrze z widzenia. Spotykała ją przecież codziennie, wspartą na ramieniu wysmukłego młodzieńca. Dlaczegoż dzisiaj idzie sama, dlaczegoż tak błada, smutna, zapłakana?...

Aha, prawda! Anielka przypomniała sobie, że to właśnie wczoraj musieli świeżo powołani żołnierze zgłosić się do szeregów...

Spojrzeniem pełnym współczucia obrzuca Czeszkę, chciałaby jej powiedzieć:

— Nie płacz, nie rozpaczaj! Tyś szczęśliwsza odemnie. Twój może jeszcze wrócić!

Na zakręcie alei ukazało się kilku chłopców w mundurkach gimnazyjów galicyjskich. Trzymali w rękach mandoliny i stroili je, przygotowując się do odegrania jakiejś melodii.

Zdawało się, że w tej atmosferze drzew kwitnących i szeptów miłosnych nie może wyrwać się z serc młodych inna pieśń, jak tylko jakaś piosenka o wiosnie, młodości, szczęściu, Kochaniu...

Gimnazjaliści uderzyli w struny, wtórując sobie do śpiewu:

„Jak mi smutno tu w tej ziemi,  
Ja do mojej wrócić rad,  
Między ludzi tu obcymi  
Tulam ja się tyle lat.  
W cudzym kraju inne statki,  
Inny zwyczaj i obyczaj,  
Uśmiech ludzki dla mnie rzadki,  
Do ojczyzny, Boże, daj!  
Tam ja znałem każdą górę,  
Każdy strumień, każdy gaj,  
Tu mi wszystko jest ponure,  
Do ojczyzny, Boże, daj!  
Boże z Nieba wysokiego,  
Ty wśród lasów prowadź łódź,  
Skróć wędrówkę ludu Twego,  
Do ojczyzny mej mnie wróć!...“

I płynęła wśród sadów kwitnących, w blasku cudnego dnia wiosennego ta stara polska pieśń tułacza...

Anielka zmęczona spacerem usiadła na ławce obok jakiegoś bardzo mizernego żołnierza, którego żółtawa cera i głęboko zapadłe oczy zwracały uwagę. Wyglądał, jakby dopiero co powstał z ciężkiej choroby.

Anielka miała zamiar czytać i rozwinęła trzymaną w ręku gazetę. Żołnierz rzucił spojrzenie na dziennik.

— Ślečna Polka? — zapytał nagle.

— Tak jest.

— No, to ja pani coś pokażę — mówił dalej po czesku żołnierz. — Ja mam także polską książkę, może ona panią zainteresuje.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą czarną, skromną, w papierowe okładki oprawną książeczkę.

Podał ją Anielce. Otworzyła książkę i przeczytała tytuł: „Zdrowaś Marya — modlitwy do Matki Boskiej“.

Była to jedna z tych małych, tanich książeczek do modlitwy, które sprzedaje się zwykle na odpustach.

Żołnierz objaśniał:

— Było to po bitwie w Królestwie Polskiem. Rosyjanie cofnęli się, pozostawiając nam plac boju, a na nim rannych i zabitych. Pomagałem wówczas sanitaryuszom. Przy jednym z martwych żołnierzy rosyjskich znalazłem tę książeczkę. Wziąłem ją na pamiątkę. Tam jest podpis. O! niech pani czyta. Ja także potem byłem ranny, ciężko ranny, a następnie przechodziłem tyfus i zapalenie płuc, ale przecież wyzdrowiałem i żyję!

W głosie żołnierza zadźwięczał tryumf, radość życia, które zwyciężyło!

Anielka czytała naprzód słowa pisane niezgrabnymi literami:

Niech cię Matka Boska prowadzi, mój synu, i do nas szczęśliwie powróci.

A potem podpis pewniejszym już, równiejszym, męskim pismem skreślony:

Władysław Wójcik, ur. 1891 r., gub. Kielecka, gmina...

Czarna, na bibulastym papierze drukowana książeczka drżała w rękach Anielki. Łzy przesłoniły jej litery.

Był młody, miał matkę, a może i dziewczynę kochaną...

Nie wróci już, nie zobaczy już nigdy wsi swojej w szacie weselnej kwitnących sadów...

Zginął! Z czyjej ręki?! Może...

O! dolo polska, nie masz ty piór, jako gołąb białych i nie kapiesz ich w blaskach słońca, ale skrzydłami, jak kruk czarnemi, łopociesz po nocy do okien naszych i płoszysz sen i w duszach dzieci gasisz radosną beztróską młodość...

O! dolo polskiego żołnierza! Płaczą nad tobą szumy twych borów, dzwonią o tobie dzwonki lilijowe cichym wieczorem, śpiewa o tobie pieśń-legenda!

Anielka chciała już opuścić park, kiedy tuż przy wejściu spostrzegła siedzącego na ławce Jurka-Legionistę.

Znała go dobrze, bo zuchowaty chłopiec był ulubieńcem pani Krystyny i odwiedzał ją często.

Jurek trzymał w ręku jakieś drobno zapisane kartki papieru i czytał. Był tak zatopiony w czytaniu, że nie zauważył Anielki.

Chłopiec miał na twarzy wypieki, a oczy błyszczały mu jakimś nieopisanym zapałem i niezwykłym podnieceniem.

Anielka uśmiechnęła się mimowolnie.

Może jakiś list miłosny — pewnie pierwsza wiosenna miłość motyla...

— Panie Jurku! Czy wolno wiedzieć, co pan tak zajmującego czyta, że nawet nie spostrzega znajomych?

Chłopiec podniósł oczy. Głos Anielki wyrwał go widocznie z jakichś krain wyobraźni, bo przez chwilę spoglądał na pół przytomnie.

Po chwili zorientował się, kto przed nim stoi i co mówi, zapomniał jednak o ukłonie i zwykłych słowach powitania i głosem drżącym ze wzruszenia zaczął:

— Ach! gdyby pani wiedziała, jakie ja cudne rzeczy czytam... Przysłał mi to kolega z frontu... Przepisał te wiersze z jakiejś gazety, czy książki, która mu przypadkiem wpadła w ręce... Bo to w Warszawie wyszło... Wie pani, jak zacząłem czytać, to naprawdę od tej chwili nie wiem, na którym świecie jestem... O, niech pani słucha, niech pani słucha!...

Jurek zaczął czytać:

O, synu mój, na wszystkich frontach,  
od p'owej Wisły aż po Ren,  
przy zapalonych stojąc lontach  
my swój o Polskę śnimy sen...

Lecz, synu, nie mów nic o zdradzie,  
to w niemilkającym huk u dział  
nasz sen rycerski, sen o szpadzie  
wreszcie się dzisiaj jawą stał.

Anielka słuchała, porwana zapałem chłopca i głębokimi, a tak prostymi i jasnymi, jak pieśń wieśniacza, słowami poety.

— Czuje pani, jakie to prawdziwie nasze, jakby z pod serca każdemu Polakowi wyrwane!... Niech pani słucha!

Jurek czytał dalej:

Bo wciąż na jawie widzę  
i co noc mi się śni,  
że Ta, co nie zginęła,  
Powstanie z naszej krwi.

## ROZDZIAŁ XV.

Radca Maliniewicz, ojciec Józi, stał przed dworcem kolejowym w Pradze i namyślał się, czy lepiej wsiąść w tramwaj lub dorożkę, czy też udać się piechotą do mieszkania córek.

Pakunków większych nie miał żadnych, małą tylko walizkę ręczną trzymał w ręku.

— Ej! przejdę się chyba — zdecydował wreszcie. — Dzień bardzo ładny, więc obejrzę sobie miasto... Na irytację dość będzie czasu! Tak, to nawet konieczne, żebym ochłodził trochę, bo mogłaby mnie jeszcze z gniewu apopleksja trafić!

W miarę okrągła, świeża, rumiana twarz Maliniewicza nie zdradzała jednakowoż skłonności do apopleksji. Była to fizyognomia człowieka zdrowego, dobrze odżywianego, który szedł w życiu utartą drogą, nie przewyciężając żadnych większych przeszkód i nie przejmując się niczem zbyt, a używał łatwych przyjemności życia, niezdolny do uczuć głębokich, lub szalonych porywów.

Rysy twarzy miał radca Maliniewicz regularne, siwiejący wąs przystrzyżony po angielsku, więc przy świeżości cery i wielkiej staranności o wygląd powierzchowny przedstawiał typ eleganckiego, „dobrze zakonserwowanego“ i bardzo jeszcze przystojnego starszego mężczyzny.

Twarz jego mogłaby złudzić wyrazem dobroduszości, gdyby nie zimne, stalowe błyski, które w pewnych chwilach zapalały się w oczach radcy i gdyby nie twardy, despotyczny rys koło ust.